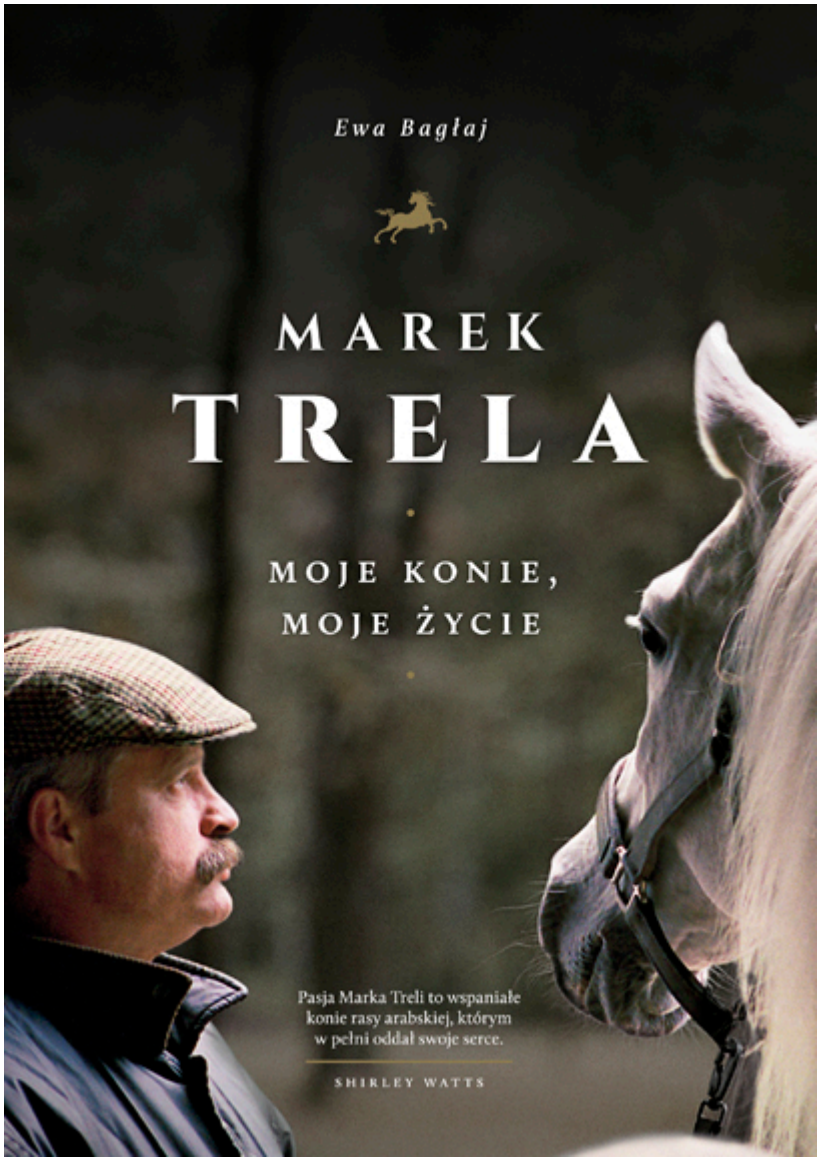
Konie – pasja i miłość

Rozmowa z Ewą Bagłaj, autorką książki „Marek Trela. Moje konie. Moje życie” o polskiej tradycji w hodowli koni czystej krwi arabskiej, najstarszej polskiej stadninie w Janowie Podlaskim i jej wieloletnim dyrektorze, Marku Treli oraz o miłości do koni i pasjach pisarskich samej autorki.



Joanna Sokołowska-Gwizdka: W grudniu wyszła pani książka „Marek Trela. Moje konie, moje życie” (wyd. Instytut Wydawniczy Erica). Jest to piękna opowieść o koniach, ich rodowodach i pasji bohatera. Inne pani książki („Broszka”, „Dublerka”, „Prymuska”), też są związane z końmi i tematyką jeździecką. Skąd u Pani te zainteresowania?

Ewa Bagłaj: Urodziłam się z tą pasją. W dodatku tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, że dorastałam w pobliżu Janowa Podlaskiego z jego słynną stadniną. Mogłam więc oglądać organizowany tam co roku narodowy pokaz koni czystej krwi arabskiej oraz aukcję Pride of Poland. Tymi wydarzeniami żył cały region. Do dziś mam zbiór wycinków z miejscowej prasy, która zawsze poświęcała dużo uwagi janowskiej stadninie i nazywała ją perłą południowego Podlasia.

JSG: Konie w polskiej kulturze i historii mają swoje znaczące miejsce. Jest w nich dużo romantyzmu. Kojarzą się z polską husarią, kawalerią, a także ze sportem, w których odnosiliśmy sukcesy. Są obiektem wielu znakomitych obrazów malarskich. Czy w Janowie Podlaskim są potomkowie koni ze stadniny Dzieduszyckich, które znalazły się na obrazach Juliusza Kossaka?

EB: Tak, i jest to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy w polskiej hodowli. Patrząc na dzisiejsze araby, obcujemy z żywym pomnikiem historii naszego kraju. Konie, które hrabia Juliusz Dzieduszycki sprowadził z pustyni w pierwszej połowie XIX wieku, czyli między innymi sportretowane przez Juliusza Kossaka siwe klacze o imionach Gazella, Mlecha i Sahara, założyły cenne rodziny, które przetrwały aż do tej pory. Polacy kontynuują ich hodowlę od prawie dwóch wieków w czystości rasy i przy zachowaniu ciągłości dokumentacji, czyli rodowodów. To ewenement na skalę światową. Udało nam się tego dokonać mimo licznych powstań narodowych, utraty niepodległości państwa na sto dwadzieścia trzy lata oraz dwóch wojen światowych! Kilka razy traciliśmy stado niemal doszczętnie i za każdym razem nasi wybitni hodowcy potrafili je odbudować. Z każdej zawieruchy dziejowej ludzie świadomi wartości i znaczenia tych koni starali się ocalić chociaż część zwierząt. Ratowali je z narażeniem życia. A następnie odtwarzano stado, rozwijając je nie tylko pod względem liczebności, ale też osiągając coraz lepsze rezultaty w zakresie cech użytkowych

oraz urody kolejnych pokoleń. Od czasu ostatniej wojny osiągnęliśmy taki postęp, że inne kraje, także arabskie, zgodnie przyznały nam miano najlepszych hodowców koni tej rasy na świecie.

JSG: Jakie jeszcze są rodowody koni ze stadniny w Janowie?

EB: Końskie rodziny, czyli linie żeńskie i rody męskie, wywodzą się od klaczy i ogierów sprowadzanych z Półwyspu Arabskiego nie tylko przez Dzieduszyckich, ale również przez innych magnatów. W okresie poprzedzającym rozbiór Rzeczypospolitej majętne arystokratyczne rody zakładały pierwsze na naszych ziemiach stadniny tej rasy. Pod zaborami araby hodowano nie tylko dla przyjemności, prestiżu czy rozrywki, ale też z pewną misją. Dzięki swoim znakomitym cechom użytkowym mogły one poprawiać wygląd, szybkość i wytrzymałość wierzchowców dla kawalerii, która miała nas wyzwolić. Ze względu na tak pożądane zalety, rasa ta zawsze należała do najcenniejszych. Za jednego konia czystej krwi nasi przodkowie potrafili zapłacić równowartość kilku majątków ziemskich w złocie! A mimo to Beduini, ze względów religijnych i militarnych, jedynie w wyjątkowych sytuacjach godzili się odsprzedawać „niewiernym" swoje rumaki, na których dokonywali podbojów.

W Polsce tabuny koni szlachetnych lokowano głównie na Kresach Wschodnich, gdzie miały najlepsze pastwiska. Okres prosperity

tych prywatnych stadnin przypada paradoksalnie na czas zaborów. Prócz Dzieduszyckich araby hodowali z największym powodzeniem Sanguszkowie, Braniccy, a potem również Potoccy w Antoninach. Wielu cennych przedstawicieli tej rasy przywiózł ze swoich wypraw na pustynię w epoce romantyzmu Wacław „Emir" Rzewuski, jeden z naszych najsłynniejszych podróżników, ekscentryczny szlachcic i zamiłowany jeździec, uwieczniony jako „Farys" w poemacie Adama Mickiewicza.

Rewolucja bolszewicka przyniosła kres magnackim stadninom, ale część uratowanych z pożogi koni trafiła ostatecznie do pierwszego państwowego stada na ziemiach polskich, jakie założono w Janowie Podlaskim, za pozwoleniem cara Aleksandra, już w 1817 roku. Hodowano tam najpierw typowe konie kawaleryjskie, głównie półkrwi angloarabskiej, natomiast araby czystej krwi pojawiły się dopiero w okresie międzywojennym. Dzięki talentowi hodowlanemu kierownika Stanisława Pohoskiego już po kilkunastu latach janowskie klacze i ogiery eksportowano za granicę. Zdobywały uznanie w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych, ale zniweczył to wszystko wybuch drugiej wojny światowej. Dopiero legendarny dyrektor Andrzej Krzyształowicz, przyuczony do zawodu przez Pohoskiego, dokonał cudu i wieloletnią pracą wyniósł janowską hodowlę na światowy szczyt.

JSG: Jakie słynne konie czystej krwi arabskiej wyhodowano w

stadninie? Proszę opowiedzieć o Pianissimie?

EB: Pianissima to daleka potomkini klaczy Sahara ze stadniny Dzieduszyckich, wnuczka ogiera Eukaliptus, który pozuje do zdjęcia z Markiem Trelą na okładce książki. Ta polska klacz została okrzyknięta nowym ideałem konia arabskiego, swoistym „wzorcem metra", do którego porównuje się inne araby wyhodowane na świecie. Pianissimę wyhodował następca dyrektora Krzyształowicza, wyznaczony przez niego samego i przygotowany do objęcia tej funkcji Marek Trela. Zasłynęła jako charyzmatyczna klacz pokazowa, która w swojej karierze wygrywała wszystkie czempionaty, w jakich brała udział na kilku kontynentach, i zdobyła rekordową liczbę nagród. Została pierwszą w dziejach laureatką Platynowego Pucharu Świata w Paryżu, nagrody wymyślonej dla koni „najlepszych z najlepszych", które mają już na swoim koncie tytuł czempiona świata.



Marek Trela (z prawej) i Andrzej Krzyształowicz, fot. Stuart Vesty, 142 s. książki.

JSG: Opisuje Pani dramatyczną historię wojenną stadniny i postać niemieckiego płk. Fellgiebela, dzięki któremu uwolniono z więzienia w Lublinie masztalerzy skazanych na śmierć i który był zaproszony do Polski po wojnie. Jak Pani trafiła na te informacje?

EB: Opowiadał mi o tym pan Trela, referując to, co usłyszał bezpośrednio od dyrektora Andrzeja Krzyształowicza, którego to zaangażowano jako opiekuna i przewodnika Fellgiebla podczas jego pamiętnej wizyty w Polsce w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Marek Trela powoływał się też na wspomnienia starych masztalerzy, których zastał jeszcze w Janowie, kiedy przyszedł tam do pracy w 1978 roku. Ludzie ci pracowali w stadninie w czasie okupacji hitlerowskiej lub też wywodzili się z okolicy, więc byli świadkami, a nieraz nawet uczestnikami opisanych w książce wydarzeń. Część wiedzy o tamtym okresie historycznym zaczerpnęłam też z książek, m.in. „Konie rubinowe" Ireneusza J. Kamińskiego. A także publikowanych w kwartalniku „Araby" wspomnień dyrektora Krzyształowicza.

JSG: Z Pani książki dowiedziałam się o wielu aukcjach koni na świecie, m.in. o aukcji Polish Ovation Sale w Arizonie w 1985 r. Czy duże jest zainteresowanie Polonii aukcjami koni z Polski?

EB: Wśród uczestników aukcji Pride of Poland zdarzają się osoby będące w pierwszym czy drugim pokoleniu imigrantami z Polski, lecz nie pokusiłabym się o ocenę, jak duże jest to zainteresowanie. Najwięcej kupców w ostatnich latach wywodziło się z krajów arabskich. Bywa, że w imieniu właściciela zagranicznej stadniny licytuje jego przedstawiciel, którym jest zatrudniony tam Polak. Jesteśmy znani z dobrego podejścia do koni, dużej wiedzy i doświadczenia w ich hodowli, dlatego wielu

fachowców polskiego pochodzenia można spotkać w takich miejscach. Na przykład w stadninie państwa Shirley i Charliego Wattsów, Halsdon Arabians w Wielkiej Brytanii, przy kilkuset arabach, z których duża część urodziła się w Janowie Podlaskim, pracuje wyłącznie polska obsługa.

JSG: To już druga pani biografia, po „Słonecznej dziewczynie. Opowieści o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej" – matce Daniela Olbrychskiego. Co fascynuje Panią w biografiach?

EB: Biografia daje możliwość przyjrzenia się z bliska wyjątkowemu człowiekowi. I nie chodzi mi tylko o konkretne zasługi dla społeczeństwa, które często stają się powodem do napisania o kimś książki. Ale przede wszystkim o jego indywidualność, czyli osobowość i drogę życiową, wybory i ich konsekwencje, relacje z ludźmi. Lubię proces poznawania drugiej osoby w sposób uważny i nieśpieszny, na jaki pozwala ten typ pisania – w przeciwieństwie do nieraz z konieczności powierzchownych kontaktów, do jakich zmusza tempo przygotowywania krótkich wywiadów dziennikarskich. Fascynuje mnie też możliwość przekazania efektów takiego spotkania innym ludziom, czytelnikom. Staram się dzielić zdobytą wiedzą o konkretnej dziedzinie, z którą związany jest bohater opowieści, ale też wynikającą z jego życiorysu refleksją o ludzkim losie. Czyli tym wszystkim, co może stać się odpowiedzią na nurtujące kogoś pytanie dotyczące jego własnego życia albo zainspirować

do rozwoju. Podobnie jak mnie samą inspiruje czytanie i pisanie o ludziach z pasją, bez względu na to, czym się zajmują. Nigdy nie wiadomo, co wyniknie ze spotkania bohatera książki z czytelnikiem, w czym autor tylko pośredniczy. To jest magia biografii, która ma dla mnie nieodparty urok.

JSG: Przedstawia pani życie i wielką pasję pana Marka Treli, z zawodu weterynarza, wieloletniego dyrektora stadniny w Janowie Podlaskim (2000-2016). O jego rodzinie, zesłaniu na Syberię babci z mamą, braciach babci kawalerzystach oraz o powojennych losach bohatera i miłości do koni, ciekawie pisze Pani w książce. Proszę powiedzieć, co najbardziej ujęło Panią w bohaterze, że zdecydowała się Pani napisać o nim książkę?

EB: Pomysł przyszedł mi do głowy po którymś z wielkich sukcesów klaczy Pianissimy, która już za życia stawała się legendą. Chciałam przeczytać biografię jej hodowcy, ale takiej książki nie było. Jednak nie czułam się dość pewnie, aby zaproponować, że to ja ją napiszę. Katalizatorem, który wyzwolił potrzebną determinację, stało się nagłe i niezrozumiałe usunięcie Marka Treli z pracy. Odnosił w niej spektakularne sukcesy. Przez wiele lat dostarczał nam, Polakom, wzruszeń, kiedy dla janowskich koni odgrywano „Mazurek Dąbrowskiego” na pokazach w różnych zakątkach świata, nawet w ojczyźnie tej rasy. Wkrótce pojawiła się też zapowiedź wykładu otwartego na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. O sukcesach polskiej

hodowli koni arabskich miał opowiadać były już prezes janowskiej stadniny, a także Anna Stojanowska i Jerzy Białobok, zwolnieni tego samego dnia z pracy. Do tej pory zarządzali państwowymi stadninami z powodzeniem, które nie ma swego odpowiednika w żadnym innym kraju. Cała trójka uchodzi za najlepszych specjalistów w tej dziedzinie na świecie. Nie mogłam być tego dnia w Krakowie, więc pomyślałam, że pracując nad książką będę mogła wysłuchać całej serii „wykładów", a wraz ze mną taką możliwość dostaną czytelnicy. Nie wiedziałam wówczas nic o rodzinie, z jakiej pochodzi pan Trela, ale chciałam przybliżyć jego postać. A także przekazać wiedzę o tym, czym jest hodowla koni arabskich i dlaczego nazywa się ją naszym dobrem narodowym.

JSG: Czy ma Pani pomysł na kolejną książkę?

EB: W tej chwili kończę pracę nad czwartym tomem przygód Broszki. Mam też kilka innych pomysłów i rozpoczętych projektów, ale za wcześnie, by o nich mówić. Co z nich wyniknie, dla mnie samej jest jeszcze zagadką.



Ewa Bagłaj, Marek Trela. Moje konie. Moje życie, Instytut Wydawniczy Erica, 2016 r., fragmenty.

WSTĘP

(…) W tej dziedzinie konkurujemy z potęgami ekonomicznymi, takimi jak USA, Rosja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz ojczyzną tej rasy, Arabią Saudyjską. Ale to z Polski pochodzą najlepsze i najdroższe konie arabskie na świecie. Nawet liczebnie trudno porównywać naszą hodowlę z tamtymi krajami, wyglądałoby to jak walka Dawida z Goliatem. Podczas gdy w Polsce, sumując pogłowie klaczy państwowych i prywatnych, doszukamy się około tysiąca matek hodowlanych, w Stanach Zjednoczonych jest ich około dwudziestu tysięcy. A jednak wygrywamy europejskie, amerykańskie i światowe czempionaty. Przykład Pianissimy, powtórzony już przez jej pół siostrę Pingę, pokazuje, że możemy wygrywać nawet w ojczyźnie tych niezwykłych koni, w sercu pustyni Nadżd. Dlaczego to jest w ogóle możliwe?

Odpowiedź tkwi w formule państwowej hodowli. Opieka państwa z założenia gwarantuje trzy rzeczy:

Po pierwsze, ciągłość istnienia stadnin; nie upadają z powodu

braku następcy, jak to się dzieje w przypadkach prywatnych stadnin.

Po drugie, dbałość o zachowanie i rozwój najcenniejszych linii hodowlanych, traktowanych jako dobro narodowe, jest na pierwszym miejscu. Zyski, choć też ważne, są na dalszym planie. Dzięki temu wciąż jeszcze dysponujemy unikatową pulą genów, która wyróżnia polską hodowlę. Chyba tylko w państwowej hodowli mogą istnieć konie takie, jak niezapomniana Pianissima, których nie można kupić za żadne pieniądze, jako że z zasady nie są na sprzedaż.

Po trzecie, następstwo wykwalifikowanych fachowców, którzy, zanim obejmą zarządzanie hodowlą, latami uczą się niuansów tej specjalistycznej dziedziny u boku swoich poprzedników. Annę Stojanowską przygotowała do zawodu Izabella Pawelec-Zawadzka, uznawana za największy autorytet w gronie znawców historii hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie. Wieloletni dyrektor Michałowa, Ignacy Jaworowski, był mentorem i doradcą swego następcy Jerzego Białoboka, podobnie jak legendarny dyrektor janowskiej stadniny, Andrzej Krzyształowicz, przekazywał swoją wiedzę Markowi Treli.

W ten sposób odbywało się przejmowanie pałeczki w polskiej hodowli od wielu lat. Tradycja ta nie została naruszona nawet podczas wojny. (…)

I właśnie to — polska myśl hodowlana, przekazywana z pokolenia na pokolenie — jest taka unikatowa. To jest nasz narodowy skarb.



Marek Trela (z prawej) i Jerzy Białobok, fot. arh. prywatne, 120 s. książki.

Stadnina podczas II wojny światowej

Aby ratować cenne stado przed hitlerowską ofensywą z zachodu, ewakuowano je wedle rozkazu na wschód, w czym uczestniczył Andrzej Krzyształowicz, zastępca kierownika Pohoskiego. Marsz odbywał się nocami, a obsługa rekrutowała się w większości z przypadkowych osób, jako że wyszkoleni w opiece nad końmi masztalerze walczyli na froncie.

Jeden z pomocników trzymał cztery spięte razem roczne ogierki. Byli to synowie Ofira, z którymi Pohoski wiązał ogromne nadzieje hodowlane. Spłoszone przez wojskową ciężarówkę, wyrwały się opiekunom w okolicy Białej Podlaskiej. Dzięki temu się uratowały. (...)

Niemcy, którym bardzo zależało na przejęciu znanej już na Zachodzie stadniny, wkroczyli do Janowa i zastali puste, zniszczone stajnie. Zaczęli poszukiwać koni, głównie tych pogubionych w czasie ewakuacji, jak synowie Ofira. Zabierali je też pod przymusem od prywatnych hodowców. W ten sposób zagrabiono ze stadniny Anny i Jerzego Bąkowskich z Kraśnicy klacz Bałałajkę, późniejszą matkę „królowej Janowa" — legendarnej klaczy Bandoli wraz z jej matką Łysą.

Niemcy doprowadzili teren do porządku, zachowując przedwojenny schemat organizacyjny hodowli, która wtedy dzieliła się na dwie zupełnie różne instytucje: stado i stadninę. Docelowo zatrudnili jeszcze więcej fachowego polskiego

personelu, niż pracowało tu przed wojną, a kierownictwo nad sprawami hodowlanymi powierzyli również Polakom.

Andrzej Krzyształowicz pełnił funkcję koniuszego stada ogierów. Stanisław Pohoski był konsultantem przy odrestaurowywaniu janowskiej hodowli, a jego sugestie niemiecki komendant, płk. Hans Fellgiebel, traktował jak święte słowo i natychmiast wcielał w życie.

O tym, jak szybko i sprawnie okupanci zorganizowali całe przedsięwzięcie, świadczy fakt, że już w następnym roku, 1940, mogli urządzić w Janowie Podlaskim tradycyjną niemiecką *Hengstparade* — wielką paradę ogierów, prezentowanych także pod siodłem oraz we wszelkiego rodzaju zaprzęgach, której towarzyszył przegląd hodowlany. Co roku było to ważne wydarzenie, odbywające się na placu w centrum stadniny. Zjeżdżała się cała generalicja. W Białej Podlaskiej działało strategiczne lotnisko, a w samym Janowie ulokowano siedzibę wyższego dowództwa Wehrmachtu, toteż wielu oficerów regularnie brało udział również w gonitwach konnych. Bywali tutaj wszyscy ci, o których czytamy teraz w książkach historycznych. W tym grupa osób zaangażowanych w przygotowywanie zamachu na Hitlera, dokonanego 20 lipca 1944 roku w Wilczym Szańcu koło Rastenburga (obecnego Kętrzyna). Jednym z głównych spiskowców był generał Erich Fellgiebel, rodzony brat komendanta stadniny. Tu właśnie omawiano plany.

— Zamachowcy spotykali się na tak zwanych polowaniach, o czym opowiadali mi jeszcze starzy masztalerze — wspomina Marek Trela. *—W samym środku lasu gromadzili się wyżsi generałowie i oficerowie, a las był otoczony Wehrmachtem. Tak wyglądało to „polowanie", żeby oni mogli sobie spokojnie porozmawiać. Większość z tych ludzi zginęła po nieudanym zamachu.*

Ale zanim tak się stało, płk. Fellgiebel korzystał ze swoich koneksji rodzinnych, wyciągając z hitlerowskiego więzienia na zamku w Lublinie pięciu masztalerzy, skazanych przez gestapo na śmierć po wpadce podziemnej organizacji Armii Krajowej.

— To niesamowite, jakie Janów miał szczęście do ludzi, nawet pod okupacją. Fellgiebel bardzo dbał o to, żeby koniom i obsłudze niczego nie brakowało. Okazał się postacią na tyle pozytywną, że był oficjalnym gościem Ministerstwa Rolnictwa w 1956 roku! Przecież to brzmi nieprawdopodobnie. Pułkownik Wehrmachtu, komendant okupowanej stadniny odwiedza świeżo po wojnie Polskę na zaproszenie władzy ludowej. Jeszcze w dodatku podejmowany z honorami. (…)

Wielokrotnie w opowieściach dyrektora przewijał się temat exodusu janowskiej hodowli, wywiezionej przez hitlerowców z końcem wojny do Niemiec. Do opieki nad stadem zabrano wtedy polską załogę, którą po śmierci Stanisława Pohoskiego kierował

Andrzej Krzyształowicz. Towarzyszyła mu żona oraz dwuletnia córka Jadwiga, starsza siostra mającej się dopiero urodzić Barbary.

Konie, ulokowane w Saksonii, musiały wkrótce, przed zbliżającym się frontem, znowu ewakuować się marszem pieszym. Nieszczęściem, przechodząc przez ulice Drezna podczas pierwszego nalotu dywanowego aliantów, trafiły w środek bombardowania. Dwa z nich, Witraża i Wielkiego Szlema, uratował masztalerz Jan Ziniewicz, któremu powierzono je na czas przemarszu. Nie porzucił koni, szukając dla siebie schronienia, lecz siedział na jednym, a drugiego trzymał przy boku.

Mimo wielkiej siły oszalałych ze strachu zwierząt — jedno miało już ogon osmolony od bomby, tak blisko wybuchały — Ziniewicz nie pozwolił im się wyrwać. Wolał z nimi zginąć, niż dopuścić do utracenia przez Polskę dwóch bezcennych ogierów.

— *Trudno sobie wyobrazić współczesną hodowlę bez tych dwóch reproduktorów* — ocenia Marek Trela. — *Ich krew płynie w każdym koniu arabskim, jaki jest w tej chwili wyhodowany w naszym kraju.*



Marek Trela i klacz Alejka, fot. arch. prywatne M. Treli, 149 s. książki.

Pierwsze kroki w roli hodowcy

Dyrektor Krzyształowicz okazał się utalentowanym nauczycielem.

Wybrany przez niego słuchacz zapamiętywał wiele z tych wykładów, specjalnie się o to nie starając, bo przecież nigdy nie chciał być zootechnikiem i nie planował dla siebie takiej przyszłości. Teraz jednak zaczynał patrzeć na budowę i sposób poruszania się koni już nie tylko okiem doświadczonego jeźdźca i praktykującego weterynarza. Nauczył się zauważać i oceniać te cechy, na które zwracają uwagę hodowcy arabów, przede wszystkim typ — jak określają to, co składa się na rasowy„bukiet". Miał do czynienia z jedną z najlepszych hodowli na świecie (której już w tamtym czasie deptała po piętach Stadnina Koni Michałów, zarządzana przez dyrektora Ignacego Jaworowskiego), więc często były to niuanse między pięknym i piękniejszym.

Słuchając planów dyrektora co do przyszłych kojarzeń, uczył się zgadywać — na podstawie sylwetki, ruchu, wyników dzielności na torze wyścigowym, rodowodu i wielu innych danych — co wyniknie z połączenia takiego ogiera z taką klaczą, a co z inną.

Prognozy te weryfikował przegląd hodowlany, który odbywał się w stadninie dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Fachowcy zbierają się wtedy, aby ocenić jakość i kondycję koni, a szczególnie urodzonych w danym roczniku źrebiąt. Można było dokładnie przyjrzeć się ogierom i klaczom, prezentowanym na tzw. płycie, nieruchomo, ale swobodnie, z wyciągniętą szyją oraz ich potomstwu. Ocenić, ile źrebiąt odziedziczyło najlepsze cechy

swoich rodziców, podnosząc rozwój rasyna wyższy poziom, a ile nie.

W wyniku tych obserwacji po przeglądach zapadały najważniejsze dla stadniny decyzje. Podejmował je dyrektor Krzyształowicz. Czy debiutujący w roli ojca młody ogier zapowiada się na czołowego reproduktora, czy korzystniej będzie wycofać go z hodowli jak najszybciej?

Zastąpić innym, może nie tak oczywistym pod względem urody, ale jednak poprawnie zbudowanym i — jak widać na przykładzie większości urodzonych po nim źrebiąt — lepiej przekazującym cechy swoich rodziców, o wiele bardziej zbliżonych do ideału arabskiej urody niż on sam?

A może przyczyna niepowodzenia tkwi w doborze nieodpowiednich dla danego ogiera klaczy i warto dać mu jeszcze jedną szansę, zostawiającgo na następny sezon?

Niezliczone czynniki, poparte doświadczeniem, wpływały na ostateczną odpowiedź. Setki takich decyzji, dotyczących każdego ogiera i każdej klaczy z osobna, składały się co roku na plan stanówek, czyli kojarzeń koni — rzecz najważniejszą dla przyszłości hodowli. Jeżeli siedziało się w jednym miejscu wystarczająco długo, jak to określił Andrzej Krzyształowicz, można było w swoich przewidywaniach odnieść się również do

przodków i krewnych konkretnego zwierzęcia, bo ich rozwój widziało się na własne oczy.

Każde źrebię jest zagadką, po narodzinach tylko częściowo rozwiązaną, bo jeśli nawet urodzi się piękne i zdrowe, to dopiero wchodząc w życie, zaczyna zapisywać swoje losy. A wraz z nimi losy macierzystej stadniny. A nawet całej hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie.

W rękach hodowcy — prawdziwego szefa stadniny — spoczywa odpowiedzialność za to, jak pokieruje życiem tej istoty, która na niepewnych jeszcze nóżkach niesie niepowtarzalny zestaw genów z unikatowej puli, nazywanej naszym dobrem narodowym. Czy pomnoży ten potencjał, czy zmarnuje powierzony sobie skarb?

Młody doktor z rosnącym zainteresowaniem obserwował kulisy sukcesów hodowlanych Andrzeja Krzyształowicza, który tak znakomicie„czuł sprawę" i który swoje zajęcie nazywał nie pracą, lecz służbą.— *Jeżeli chodzi o hodowlę, to zacząłem przejmować sposób patrzenia na konie od pana Krzyształowicza. To nie było w pełni to samo spojrzenie, bo ja też miałem już swoje wcześniej wyrobione gusta, jakiś ideał konia.*

Hodowla to jest nieustająca konieczność wyboru. Wspaniale byłoby móc kierować się wyłącznie swoim poczuciem tego, co się

chce zostawić albo sprzedać. Przyjmijmy, że stadnina ma mieć określoną liczbę klaczy. Ich selekcja nie wygląda w ten sposób, że ta mi się nie podoba, to ją wyrzucam, a tę, która jest wysokiej jakości, zostawiam. To byłoby zbyt proste. Tutaj jest potrzebny kompromis między interesem hodowli, czyli jakością koni, a interesem stadniny, która musi się utrzymać.

Musi istnieć również kompromis między jakością stada matek a potencjałem genetycznym, który trzeba utrzymać, a więc trzeba zachować różne linie żeńskie i męskie. Te wszystkie rzeczy trzeba jakoś pogodzić. I zawsze któryś z tych interesów musiał ucierpieć. Najczęściej cierpiał hodowca, gdy pozbywał się swoich ulubionych koni.



Ewa Bagłaj, fot. FAPA-PRESS.

Ewa Bagłaj – polska pisarka, autorka powieści dla młodzieży i biografii, dziennikarka prasowa. Uzyskała magisterium z filologii polskiej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Absolwentka podyplomowego studium dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Jako dziennikarka publikowała m.in. w „Dzienniku Wschodnim", „Słowie Podlasia", „Koniu Polskim". „Sukcesie" czy na portalu – Polskiearaby.com. W swoich książkach najchętniej porusza tematykę psychologiczno-społeczną, a także kwestie ekologii i

ochrony praw zwierząt, głównie koni. W utworach często obecne są wątki związane z końmi i jeździectwem.

Autorka książek:

- *Broszka* – powieść dla młodzieży, wyd. Świat Książki, Warszawa, 2005.
- *Dublerka* – kontynuacja przygód Broszki, wyd. Świat Książki, Warszawa 2007.
- *Słoneczna dziewczyna. Opowieść o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej* – biografia, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2007.
- *Prymuska* – powieść dla młodzieży – kontynuacja przygód bohaterki książek *Broszka* i *Dublerka*, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2013.
- Marek Trela. Moje konie. Moje życie, wyd. Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2016.